Nr. 40 Rok 3 Kraków, dnia 4 października 1942. 40 gr.

Ilus... wany ...R POLSKI



MOŻE WIEDEŃSKĄ!

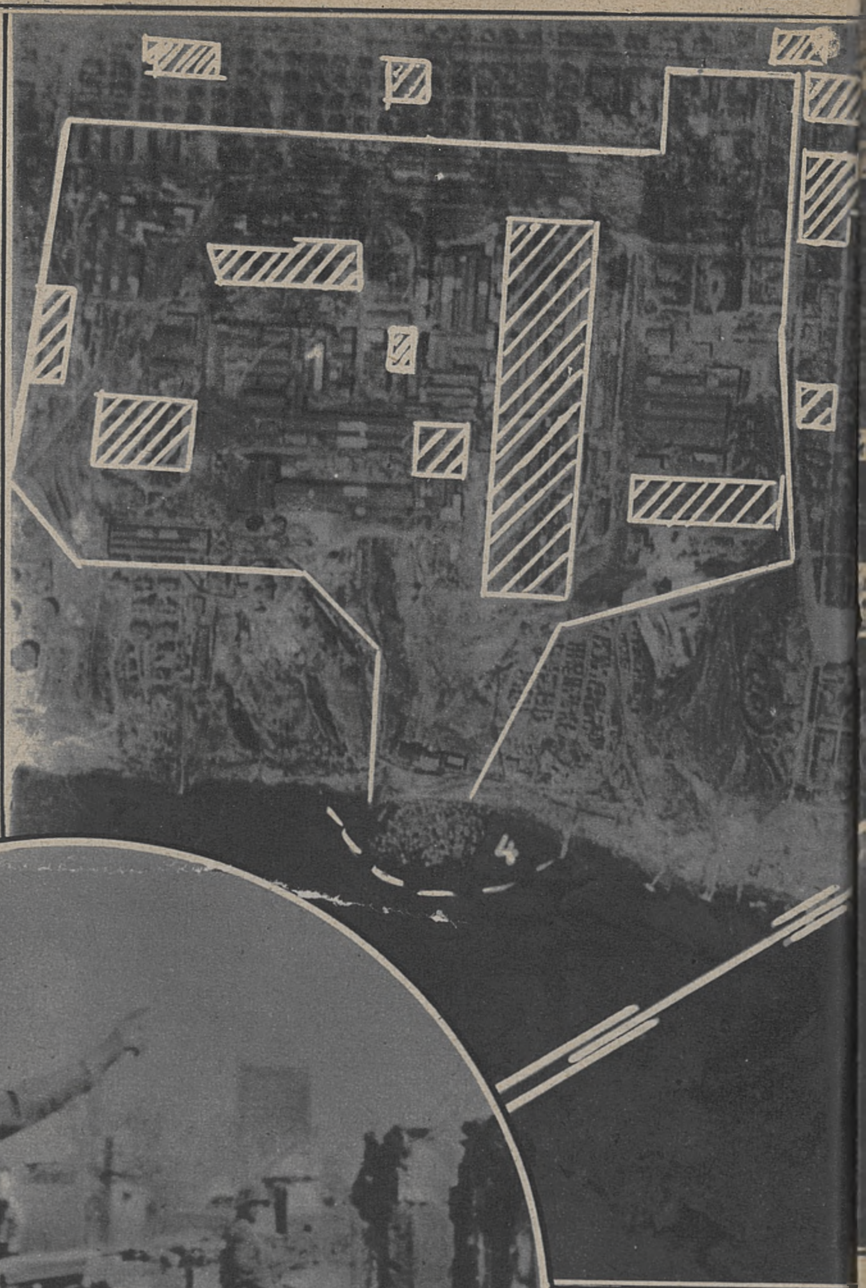
ZWIEDZAMY W WARSZAWIE SZKOŁĘ FRYZJERSKĄ

(WIELKI REPORTAŻ WEWNĄTRZ NUMERU)

Fot. Borek



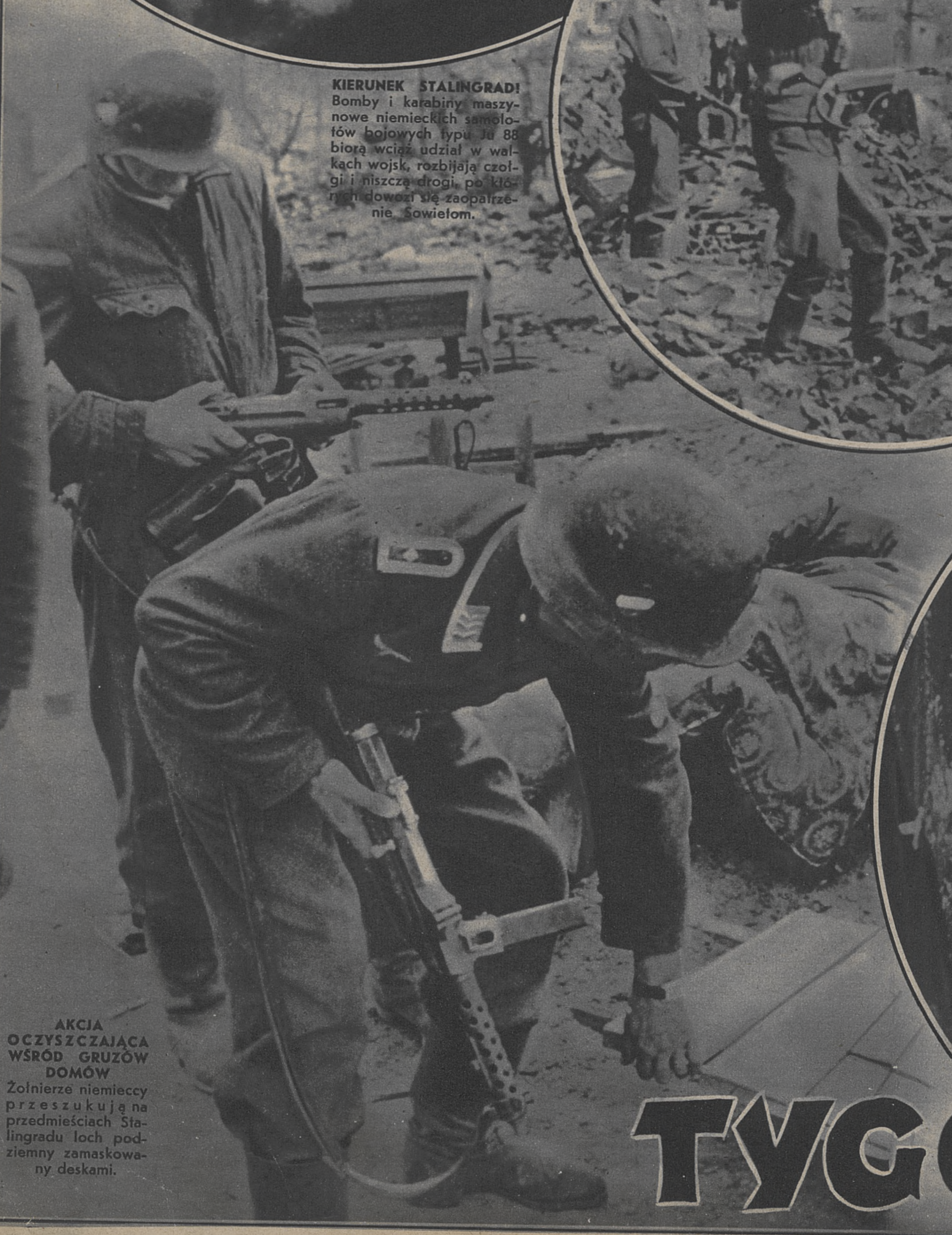
KIERUNEK STALINGRAD! Bomby i karabiny maszynowe niemieckich samolotów bojowych typu Ju 88 biorą wciąż udział w walkach wojsk, rozbijając czołgi i niszczą drogi, po których dowozi się zaopatrzenie Sowietom.





W kole na lewo: **WŚRÓD GRUZÓW DOMÓW W STALINGRADZIE** W zaciekłych walkach wręcz zdobyła piechota niemiecka niezwykle silnie umocnione domy sowieckie.

Fot.: P. B. Z. 4
Scherl 2
Atlantic 1



AKCJA OCZYSZCZAJĄCA WŚRÓD GRUZÓW DOMÓW Żołnierze niemieccy przeszukują na przedmieściach Stalingradu loch podziemny zamaskowany deskami.



TYGODNIK



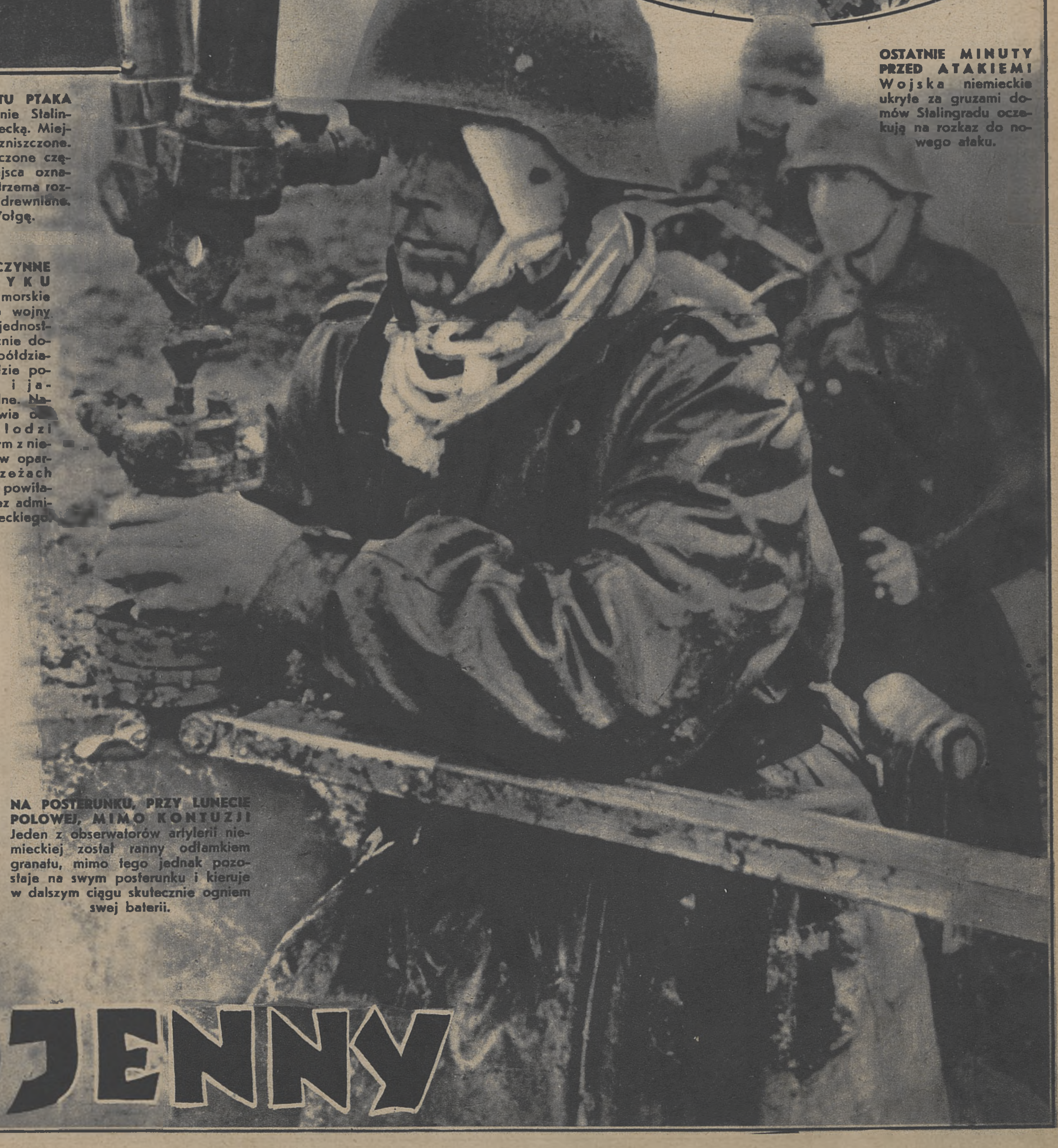


ZDJĘCIE STALINGRADU Z LOTU PTAKA
Ilustracja nasza przedstawia zniszczenie Stalingradu przez lotnictwo i artylerię niemiecką. Miejsca zakreskowane wskazują tereny zniszczone. Miejsca oznaczone nr 1 i 2, to zniszczone częściowo urządzenia przemysłowe, miejsca oznaczone nr 3, są to stacje benzynowe z trzema rozbitymi zbiornikami. Nr 4 to tratwy drewniane. Na przednim planie widzimy Wołgę.

OSTATNIE MINUTY PRZED ATAKIEM!
Wojska niemieckie ukryte za gruzami domów Stalingradu oczekują na rozkaz do nowego ataku.



W kole u dołu:
JAPOŃSKIE ŁODZIE PODWODNE CZYNNE OBECNIE I NA ATLANTYKU
Podczas gdy niemieckie siły zbrojne morskie od chwili przystąpienia Japonii do wojny pracowały wspólnie z japońskimi jednostkami na oceanie Indyjskim, to obecnie doszło po raz pierwszy do skutku współdziałanie także i na Atlantyku, gdzie pojawiły się ostatnio również i japońskie łodzie podwodne. Nasza ilustracja przedstawia odwiedziny japońskiej łodzi podwodnej w jednym z niemieckich punktów oparcia na wybrzeżach Atlantyku i powitanie jej przez admirała niemieckiego.



NA POSTERUNKU, PRZY LUNECIE POLOWEJ, MIMO KONTUZJI
Jeden z obserwatorów artylerii niemieckiej został ranny odłamkiem granatu, mimo tego jednak pozostaje na swym posterunku i kieruje w dalszym ciągu skutecznie ogniem swej baterii.

WOJENNY

Może wiedeńska?



— Do pielęgnacji paznokci mamy tu w zakładzie osobne manicurzystki, ale i my umiemy robić manicur.

ZWIEDZAMY SZKOŁĘ FRYZJERSKĄ W WARSZAWIE

Czasy, kiedy kandydat na rzemieślnika oddawany był na praktykę do majstra, w wielu gałęziach rzemiosła należą już do przeszłości. Uczeń przyjęty na trzy lub czteroletnią praktykę (najczęściej za wysoką dopłatą) wykonywać musiał niejedną pracę nie związaną zupełnie z zawodem do jakiego się sposobił. Zmywanie podłóg, robienie zakupów na mieście dla pani majstrowej, nierzadko niańczenie dzieci itp. — to były częste zajęcia zarówno panienki jak i chłopca będących na praktyce w prywatnym zakładzie. Oczywiście, że odbijało się to okropnie na przygotowaniu ucznia do samodzielnego wykonywania zawodu. Po kilkuletniej praktyce stawał do pracy tzw. partacz, niezadawalający swoich klientów, marnujący niepotrzebnie czas, materiał, a tym samym pieniądze.

Aby temu stanowi zapobiec, dając do pracy w każdym zawodzie naprawdę fachowe siły, zarówno żeńskie jak i męskie, władze szkolne wspólnie z organizacjami rzemieślniczymi otaczają troskliwą opieką szkoły zawodowe, w których uczeń oprócz przedmiotów praktycznych zdobywa pewien zasób wiedzy ogólnej. Do takich szkół należy jedyna na terenie Gen. Gub. II Miejska Szkoła Zawodowa Żeńska w Warszawie, przygotowująca kandydatki do zawodu fryzjerskiego. Szkoła ta ma charakter kursów trzyletnich, na których uczennice zdobywają wiedzę zawodową oraz uczą się przedmiotów ogólnokształcących.

W wymienionej szkole uczennice zapoznają się gruntownie z wszystkimi gałęziami fryzjerstwa, jak: manicure, ondulacje wszelkiego rodzaju, farbowanie włosów, tlenienie, perukarstwo itp.

W czasie naszego pobytu w Warszawie postanowiliśmy zwiedzić tę szkołę, ażeby wrażeniami odniesionymi tam, móc się podzielić z naszymi czytelnikami.

Trafiliśmy akurat na koniec lekcji kosmetyki. Grupa dziewcząt stoi przed mikroskopami i bada skórę i włosy swoich koleżanek. Dzwonek przerwał im to zajmujące, jak można było poznać po minach, zajęcie. Na następnej lekcji była chemia. Zaprowadzono nas do laboratorium, gdzie uczennice w miseczkach przygotowywały różne płyny, mikstury, maści.

— Na co to?

— To preparaty do różnych zabiegów, jakie poczynimy na następnych lekcjach, na lekcjach nauki praktycznej. To jest płyn do całkowitego wyczyszczenia skóry twarzy, a ta maść służy do usuwania egzemów i grzybków.

— A to?

— To płyn do trwałej, a ta przeciwko łupieżowi.

— Na kim robicie eksperymenty?

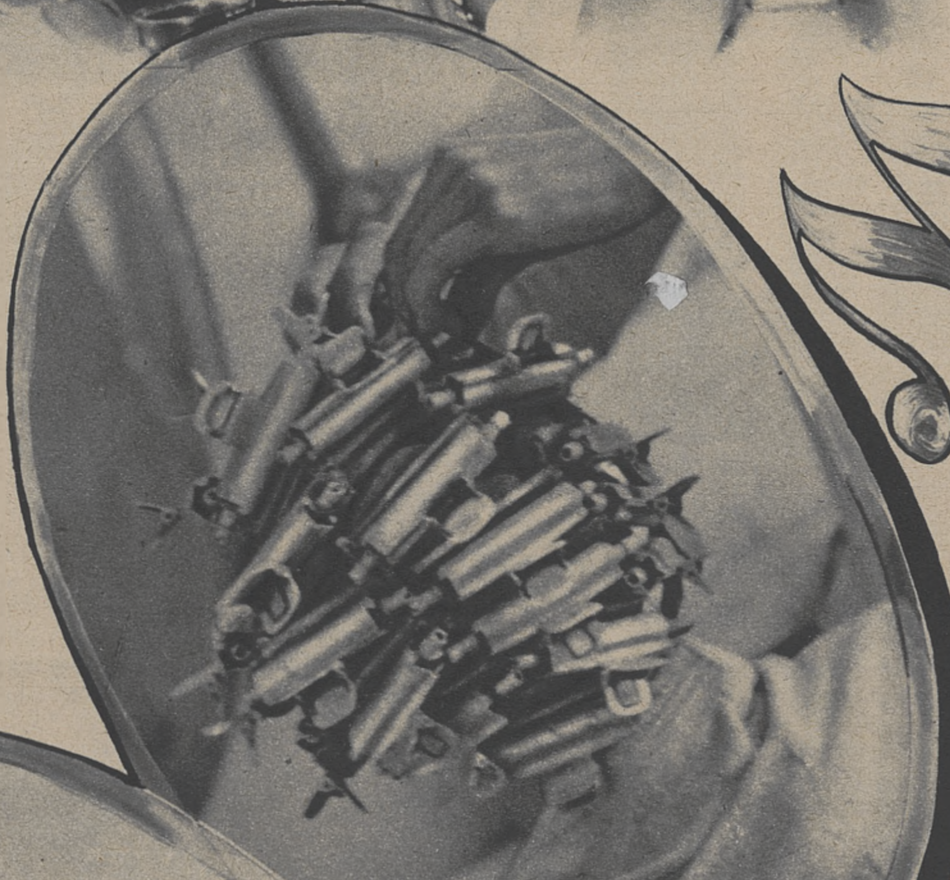
— Na naszych klientkach!

Szkoła wyposażona jest w nowoczesne aparaty fryzjerskie, posiada własne pracownie, w których uczennice ćwiczą dwa razy w tygodniu na modelkach z miasta. Pieniądze uzyskane od klientek idą na pokrycie wydatków szkolnych.

Po trzech latach nauki i złożeniu egzaminów uczennice otrzymują dyplomy czeladnicze — po następnych zaś trzech latach pracy w zakładzie — ubiegać się mogą o dopuszczenie do egzaminów mistrzowskich. Dyplom mistrzowski upoważnia do otwarcia własnego zakładu.

Jedyna tego rodzaju szkoła fryzjerska w Gen. Gub., gdzie uczennice nie potrzebują odbywać praktyki w zakładach prywatnych, gdyż całokształt wiedzy zdobywają w szkole, założona została i jest kierowana przez p. Spechta, który co roku daje zawodowi fryzjerskiemu naprawdę fachowo przygotowane siły do pracy.

Z. Bak.





KRYSIA ZDAJE EGZAMIN MISTRZOWSKI

— To pani skończyła szkołę w Waszawie! Ciekawam jakich przedmiotów tam uczono.

— Głównymi przedmiotami były: materiałoznawstwo, chemia, fizyka, kosmetyka i perukarstwo.

— Materiałoznawstwo?

— Tak, zapoznawano nas z gatunkami włosów i skóry.

— To może mi pani powie jakie ja mam włosy?

— Przede wszystkim są bardzo suche, dlatego muszę je po umyciu mocno naoliwić.

— Włos pani jest poza tym bardzo cienki, więc trzeba go dłużej preparować.

— Czy pani zna proces odbywający się na włosie w czasie trwałej?

— Ależ tak, uczyłyśmy się tego na chemii. Skręcanie włosów następuje przez preparowanie ich odpowiednimi związkami przy udziale wysokiej temperatury. A związki te przecież sama muszę umieć przyrządzić.

— A gdyby aparat zepsuł się nagle w czasie pracy?

— Zaraz go naprawię. Przecież uczyłam się fizyki!



— Ślicznie się pani zakręciły włosy. Jaką fryzurę pani pozwoli? Może wiedeńską?

— Bardzo proszę, w tej mi najbardziej do twarzy.

— Przystępuję więc do układania wodnej.

— Dobrze, ale niech pani dalej opowie o swojej szkole. Chciałabym posłać tam moją siostrzenicę. Bardzo się interesuję sztuką fryzjerską.

— Z największą chęcią. A więc uczyłyśmy się jeszcze...

Fot. Borek





— Była i rachunkowość, bo bez znajomości jej żadna z nas nie mogłaby sobie w przyszłości otworzyć własnego zakładu.

— Naturalnie, bo wynajmowanie obcego buhaltera jest zawsze ryzykowne.

— Ze wszystkich przedmiotów najwięcej lubiłam perukarstwo. Ze ściętych włosów robiłyśmy przepiękne warkocze, postiże i peruki. Te ostatnie także ze sztucznych włosów.

— Co to są postiże?

— A, to łata włosów do przykrycia łysiny u starszych panów.

— Eh, to chyba rzadkie wypadki.

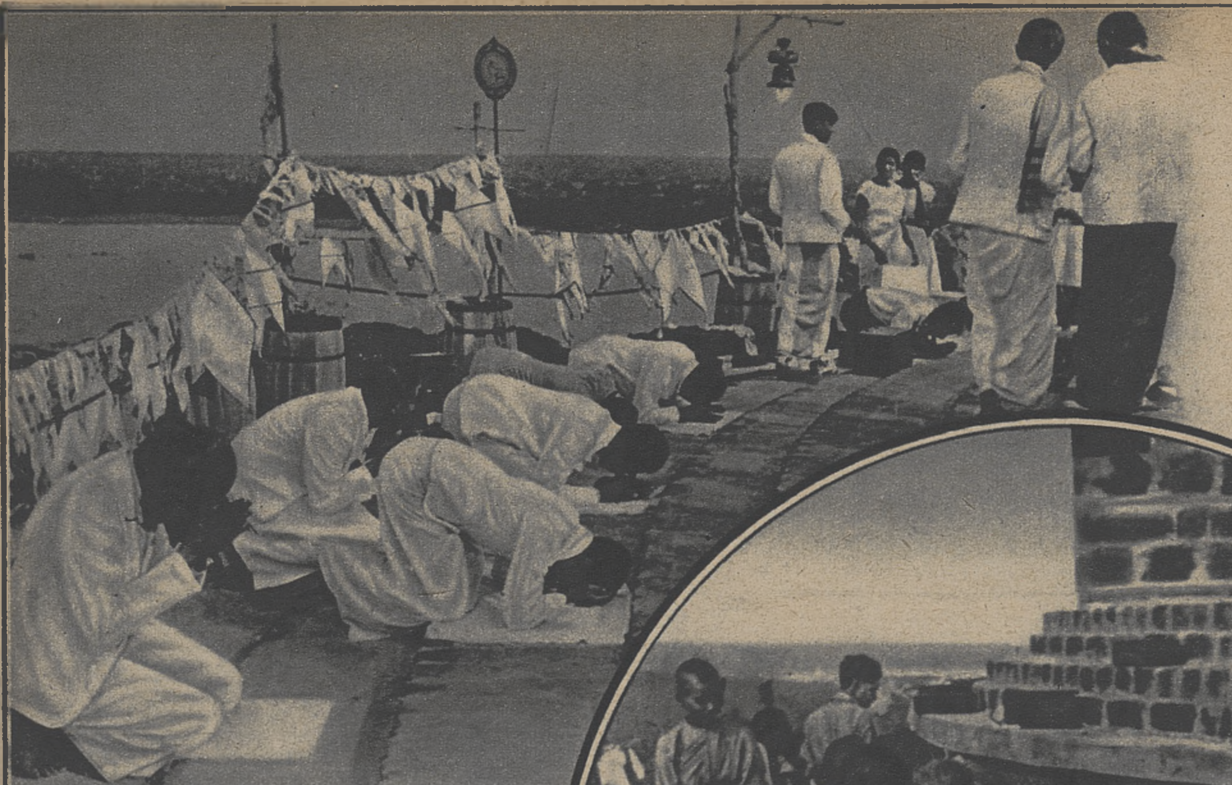
— Łaskawa pani się myli. Panowie są często więcej w pretensjach od pań. — Skończyłam, zadowolona pani z fryzury?

— Nadzwyczajnie! Ma pani prawdziwy talent w palcach.

— Pani bardzo uprzejma. Dziś zdaję egzamin mistrzowski, a pani fryzura jest moją sztuką mistrzowską.



Zamek bogów w Anuradhapurze



Idąc po schodach prowadzących do świętych relikwii Buddy padają pielgrzymi w kornej modlitwie na kolana, co kilka stopni.



Gdy Adam wygnany z raju zleciał na ziemię, po raz pierwszy dotknęła jego stopa ziemi na Cejlonie, w miejscu zwanym dziś górą Adama. Jeszcze po dziś dzień zachował się tu ślad jego stopy odciśnięty w skale. Taką legendę opowiadają sobie mahometanie. Inni mieszkańcy Cejlonu, Hindusi, uważają odcisk stopy w skale za ślad Sziwy. W każdym razie w raju nie mogło być piękniej, niż jest dziś na Cejlonie, wyspie tysiąca barw, wysokich gór, malowniczych dolin, nieprzebytych dżungli i pełnych uroku pól ryżowych. Cejlon jest nadzwyczaj bogaty w dary przyrody, obfituje w drogie kamienie i perły. Z dala od międzynarodowych zatargów leży Kolombo, obecna stolica wyspy, a o 72 km od niego oddalona, wśród zieleni prastarych borów Anuradhapura, dawna stolica Cejlonu. Budowle tego miasta sięgają czasów z przed 2000 lat, a obszar przezeń zajmowany przewyższał rozmiary dzisiejszego Londynu. Spiżowy pałac króla Dutthagamani posiadał 1000 sal, a 1600 filarów tego na 9 pięter wysokiego pałacu zachowało się po dziś dzień. Słonie z masywnego złota podtrzymywały sale, po których dziś nie ma już ani śladu. Zewnętrzne mury wysadzane perłami czyniły z tego pałacu drogocenną szkatułę. Fantastyczny pałac, nad którym paliły się spiżowe dachówki gorzał od jutrzenki do zachodu słońca. Ponad łagodnie wznoszącymi się .wzgórzami, ponad ukośnie stojącymi kolumnami z marmuru i małymi sadzawkami, wznosi się potężna kopuła t. zw. „zamku bogów" największej na Cejlonie dagoby „Ruanveli Saya" czyli złotej. Na 90 metrów wysoka dagoba Ruanveli przygniata swą wielkością, zadziwia szlachetnością linii, oraz majestatycznym wyglądem. Przez 7 lat 600 ludzi pracowało dzień i noc bez przerwy nad wzniesieniem tej olbrzymiej budowli. Na budowę jej wyszło tyle cegieł, że można by było wznieść z nich mur na 3 metry wysoki od Berlina aż do Essen. Cegły te niesłychanie precyzyjnie wykonane, zostały z sobą łączone bez zaprawy murarskiej. Jak dawniej tak i dziś dagoba Ruanveli jest świętością buddyjską, do której ze wszystkich stron świata schodzą się wyznawcy Buddy. Po chwiejącym się rusztowaniu z bambusów wychodzą pielgrzymi na szczyt kopuły, w której znajduje się „Ti". „Ti" to ustawicznie powiększany przez nowe ofiary skarbiec, zawierający niezmierzone ilości złota i drogich kamieni. Magnesem, ściągającym rzesze wyznawców z całego świata do Anuradhapury, są relikwie złożone z obojczyka i pasa mistrza, a znajdujące się w „zamku bogów". Tęsknota za umiłowanym Buddą każe wiernym przebywać setki mil, by tu, gdzie setki pokoleń czciło mistrza — również swą duszę w podniosłej ekstazie złożyć u stóp Boga.

W skarbcu „Ti" zamurowywuje się ofiary ze złota i drogich kamieni, składane przez pobożnych pątników.

Fot.: Atlantic 4

W kole:

Niezliczone rzesze wyznawców Buddy ciągną drogą prowadzącą do „zamku bogów", dagoby „Ruanveli Saya".

Na prawo:

W Anuradhapurze przed olbrzymią kopułą „zamku bogów". Wierzchołek dagoby zakończony jest szpikulcem w rodzaju obelisku. Dagoba stoi na szerokiej terasie uwieńczonej kamiennym fryzem rzeźbionym.





»NADUŚ«

NOWELA NAPISANA PRZEZ M. A. HESSEL

Właściwie było mu na imię Waluś, gdyż świętego Walentego wyznaczono mu przy chrzcie na patrona. Ale imię to poszło w zapomnienie, istniało tylko w Urzędzie Gminnym i na metryce, schowanej starannie na dnie skrzyni pod chustami i spódnicami matki. Był tylko „Naduś" — tak nazywali go od malutkiego rodzice, rodzeństwo, później towarzysze zabaw dziecięcych, następnie koledzy z wiejskiej szkółki, bliżsi i dalsi krewni, sąsiedzi, znajomi — wszyscy.

Gdy Naduś (a właściwie wtedy jeszcze Waluś) był całkiem malutki, matka jego, hoża i pulchna Borakowa często karmiła drób, trzymając go na ręku. Ze zrębów dachu spływały wtedy do jej bosych nóg białe gołębie, radość i duma starszego o siedem lat Walusiowego brata, Antka. Matka Walusia sypała więc i gołębiom, wzywając je: — na, na, duś-duś-duś! na, duś! — Ten dźwięk właśnie utrwalił się w pamięci chłopca. Nikt nie wiedział dokładnie, czy pierwszym słowem, jakie w swym życiu wymówił, było „mama", czy „naduś". Chłopczyk wyciągał tłuste rączki do gołębi, wabiąc je niewyraźnym dziecięcym świergotem „naduś", bo spamiętał, że tak trzeba zawołać, jak się chce coś dać... A zatem wołał tak na wszystko, co chciał później kiedykolwiek z rączki swej pożywić: na kurę i kurczęta, na kaczki, gęsi, żółte gąsiątka, na kota, psa, kozę, krowę i kasztana, którym powoził tata. Nierzadko, gdy był jeszcze całkiem głupiutki, zwracał się tak do matki, ojca lub siostry z jakąś swą dziecięcą darowizną: cukierkiem, skórką od chleba, zabawką, źdźbłem trawy lub kamyczkiem...



...Matka Walusia sypała więc i gołębiom, wzywając je: na, na, duś-duś-duś! na, duś!...

...i nazwano go „Naduś"...

Dziwne to było dziecko. Gołębie, na które pierwszym wyczynem swego niedołężnego jeszcze języczka zawołał, dały mu na zawsze nie tylko imię, ale coś jeszcze: naturę swoją! Naduś miał prawdziwie gołębią duszę, zgodną, dobrą, słodką i ufną. Nie było w całej okolicy drugiego takiego dziecka. Żadnych nie trzeba mu było zabawek, ani nianiek. Gdy Antoś był w szkole, a Józusia, dwa lata młodsza od Antka, obganiała gęsi albo i za krowami matce poszła, Naduś zostawał sam. Sadzała go matka pod drzewem przed domem, na grubej chustce, za towarzysza i poniekąd opiekuna dając mu Bukieta. Bukiet znakomicie pilnował najmłodszego gospodarza, a towarzyszem był niezrównanym. Kochał zresztą bezgranicznie, całym swym psim jestestwem, maleńkiego pana, który obłapiał go rączkami za kark i całował po pysku tak samo szczerze, jak całował po twarzy mamę i tatę, uwielbianego Antka, albo Józusię. Pies podskakiwał, łasił się, tarzał do góry nogami, lub też gonił dookoła jak furia, poszczekując. Do uciech tych dołączał się czasem Burek, zwyczajny bury kot, jakich na wsi dziesiątki. Naduś lubił kota, gdyż był ciepły, miękki i lekki.

Rodzice Nadusia, dobroduszny olbrzym Borak i kraśna jak jabłoń jego Antośka, dobrze obchodzili się z każdą „gadziną" i lubili zwierzęta, z którymi złączyło ich życie, nie zezwalając nigdy dzieciom na czynienie im krzywdy. Więc wrażliwa duszyczka Nadusia rozwijała się w sprzyjających warunkach. Naduś kochał wszystko, co miało cztery nogi lub skrzydła. Gdy podrósł nieco, potrafił godzinami wpatrywać się w cudowne, śmigłe loty jaskółek i ich tajemnicze znikanie pod dachem, niestrudzenie przyglądał się kłótliwym stadom wróbli, oglądał się lub biegał za każdym owadem, który mu brzęknął koło nosa.

— Okropnie dziwne dziecko! Nie będzie się on Borakom chował... — zawyrokowały szeptem baby między sobą.

Ale życzliwe kumoszki myliły się w sam raz... Naduś nie tylko „chował się", ale chował się bardzo dobrze. Odziedziczył po ojcu wszystko, co zeń było do wzięcia: duszę spokojną i dobrą, a wszystkiemu życzliwą — i wspaniałe mocne zdrowie. Już w chłopięcych kształtach widniała wyraźnie zapowiedź przyszłego wielkoluda. Niespełna jedenastoletni chłopiec o pszenicznej głowie i oczach błękitnych jak lniane kwiaty, o wiele przewyższał wzrostem i siłą wszystkich swych rówieśników i wielu starszych od siebie. Antek dawno już nauczył pływać ukochanego „młodszego", więc Naduś pływał jak szczupak, po drzewach i płotach wspinał się jak kot i świetnie jeździł na rowerze (brat Borakowej był wiejskim listonoszem i chętnie pożyczał ulubionemu siostrzeńcowi swego roweru).

— Całkiem się w „mojego" wdał... — mówiła miłośnie i dumnie Borakowa. Śmiały się z nich baby, że choć Antośce pod czterdziestkę już było, w ogień by gotowa za swoim Józusiem, a on zaś za swoją Antośką... Ale też nikogo we wsi nie otaczał taki szacunek i poważanie, jak ich. Lubili wszyscy tych serdecznych pogodnych ludzi, prawych jak samo złoto, a młody wikary, odludek z nikim się bliżej nie wdający, do Boraków zachodził często. Mówiono o nim, że przepada za „najmłodszym" Boraków. Jakoż ksiądz lubił bez miary to dziecko, a zorientowawszy się, że chłopiec pojętny jest do nauk, ładował Borakom do głowy jako najświętszy obowiązek posyłanie go dalej do szkół i sam obiecywał pomagać. Borakowie nie sprzeciwiali się temu, „byle Naduś miał chęć..." — gdyż w głębi duszy oboje najbardziej miłowali to najmłodsze, choć nigdy z tym nie chcieli się zdradzać. Fawor młodego księdza cenili sobie wysoko. Mówiono powszechnie o wikarym, że jest „z panów", że bardzo wykształcony i mądry, jeno „ciągiem smutny..."

Naduś uczył się chętnie, ale równie chętnie gonił po łąkach i polach, po lesie, wylegiwał się nad rzeką lub w rodzicielskim sadzie. Wszędzie go było pełno. Raz przyłapał nad stawem Jędrka od Rębaczów, gdy chciał zabić schwytaną żabę.

— Puść ją!

— Nie chcę! A po co?

— Puść! dam ci jabłko...

Jędrek zmiękł wobec takiej pokusy. Do jabłek było daleko, ale Naduś miał. Od wikarego... Żaba wróciła do wody...

Innym razem tegoż samego Jędrka przydybał w lesie, jak dusił wiewiórkę. Naduś posiniał z żalu i gniewu.

— Puść ją!!!

— Ale?... — przedrzeźnił się Jędrek, ściskając mocniej szyję nieszczęśliwego zwierzątka. Naduś nie pisnął więcej ani słowa. Oczy pociemniały mu. Zwiniętą pięścią buchnął między oczy. Jędrek wrzasnął i upadł. Wyswobodzona wiewiórka błyskawicznie smyknęła na drzewo, a krew z nosa pociekła szybko na trawę. Naduś nie uciekał. Stał.

— Widzisz! potrzebne ci było? Nie płacz! — dodał prędko, uklękając przy Jędrku, który zaczął płakać, — dam ci mój scyzoryk, ale jak nie będziesz więcej...

Przed samym Bożym Narodzeniem rozeszło się o psa, którego duży, piętnastoletni chłopak, kopał i bił za coś bez litości.

Naduś bez wahania skoczył na starszego o wiele przeciwnika i pobili się tak dotkliwie, że przez kilka dni Naduś nie mógł ruszać nogami i rękami, a twarz miał siną i spuchniętą od guzów. Za to między Borakiem i Antosiem, a ojcem „tamtego" omal nie doszło do krwawej rozprawy, którą zażegnała Borakowa, wikary i sam Naduś. „Tamten" leżał w gorączce, z rozciętymi wargami i skrwawioną gębą, a Naduś jeszcze odgrażał się, że go zabije, jeżeli go jeszcze raz na czymś takim przyłapie. Potem nagle rozpłakał się i płakał długo, żałośnie...

Ale sprawa zaczęła się komplikować. Oto starszy brat „tamtego", Franek, parobek pod wąsem, zerkał nie bez wzajemności na Józusię Borakównę. Młódka jeszcze była, bo jej dopiero pod szesnasty rok szło, więc chłopaki wstrzymywały zapędy, ale każdy gospodarski syn upatrzył ją sobie. Śmiało się każdemu brać żonę z takiego gniazda, bo rodzina Boraków poważana była, jak żadna. Wybór Józusi padł na Franka, bo i przystojny był i nie głupi i zamożny i znaleźć się wszędzie umiał porządnie. Ale wobec bójki chłopaków przegnała wielbiciela (Borakowie trzymali się razem, jak mur...) i orzekła, że nie chce go więcej widzieć na oczy. A ponieważ piwne (po matce) oczy były śliczne, więc zrozpaczony Franek zerżnął dodatkowo młodszego brata i zagroził — jak i Naduś —, że go zabije, jeżeli nie pogodzi się z małym Borakiem.



...Zwiniętą pięścią buchnął między oczy...

Naduś szybko przebaczył zwyciężonemu przeciwnikowi, a Józia już się nie odsunęła, gdy na sumie Franek „przypadkiem" znalazł się tuż przy niej.

Antek pojął w mig, co się święci... Zaraz po sumie odwołał Franka nieco na bok i błękitnymi jak kwiaty lnu oczami zajrzał mu prosto w oczy.

— Czego szukąsz u mojej siostry? Kości ci połamię...

Franek uważnie obejrzał olbrzymie bary Antka.

— Niczego nie szukam! Za rok poślę z wódką do twoich ojców, bo teraz jeszcze mi Józi nie dadzą!

Antek wyciągnął olbrzymią łapę.

— Dobra! Ale przez ten rok — wara!!! Ojciec by cię zabił, a jak nie ojciec, to ja!

Poszli razem na wódkę. Franek fundował, radosny, jakby go kto na sto koni wsadził. Już się nie bał rywali. Antka miał za sobą — no i Józię.

Tak się skończyła bójka o psa. Prośby i dobre słowa Nadusia też skutkowały. Zresztą wszystkie matki surowo zakazały synom bitek z małym Borakiem. Chłopcy wyzyskiwali słabość Nadusia i przy nim z przekory dokuczali zwierzętom, by coś od niego wyłudzić. Zaniechali tego jednak, gdy zorientowany po jakimś czasie Naduś udowodnił (choćby na bracie Franka), że pięści ma nie od parady. Zresztą matkom nie tylko o to chodziło... Naduś sypiąc guzy mógł i sam guza oberwać, ale za chłopcem stał ojciec, największy mocarz w okolicy, i brat Antek, któremu wszystkie parobki ze wsi schodziły z drogi. Bo niedość, że sam był mocny, jak jucha, ale... też mógł zawsze liczyć na ojca. Poczciwy, nieśmiały i łagodny Borak, o naiwnych i dziecięco niebieskich oczach, — gdy chodziło o jego dzieci, dzieci którymi obdarzyła go umiłowana nad wszystko żona, — zmieniał się w dzikie, niebezpieczne zwierzę. Cały powiat pamiętał jeszcze wciąż okropny wypadek, który omal nie pociągnął za sobą ludzkiego życia. Naduś chodził do drugiej klasy. Nauczycielem i kierownikiem szkoły był niejaki Łunowski, którego dość już miała cała wieś. Zaczepiał wszystkie dziewczęta, a zamiast pilnować nauki i wsi, pił i grał w karty do rana w sąsiednim miasteczku. Do szkoły często przychodził pijany i wtedy wyrabiał awantury. Pamiętnego dnia tak właśnie było. Zbił chłopca. Dziecko rozpłakało się. Łunowski bił go linią po rękach krzycząc groźnie: cicho bądź! Wtedy Naduś skoczył w obronie kolegi, wyrwał linię z ręki nauczyciela i rzucił o ziemię. Wściekły nauczyciel dopadł Nadusia i począł bić pięściami. Naduś bronił się. Dzieci narobiły wrzasku i rozpierzchły się. Borak majstrował coś w kuchni, gdy wpadła sąsiadka: — „Ady waszego chłopca Łunowski bije, aż się szkoła trzęsie" — Borak runął we drzwi.

— Józuś, na Rany Boskie! — zawołała za nim przerażona Antośka, stając na chwilę jak słup, z załamanymi rękami. Po chwili wybiegła za nim.

Szkoła nie była daleko. Olbrzym znalazł się tam w kilka pacierzy. Zbity, głośno płaczący Naduś, kulił się pod drzwiami, gdy wpadł przez nie Borak. Blady jak trup z gorejącymi szpareczkami zamiast oczu, podszedł do nauczyciela.

— Mojego chłopca? Nadusia? Ty ścierwo...

Jeden jedyny raz tylko uderzył go mocno w pierś. Łunowski padł. Krew spieniona i czarna buchnęła po chwili strumieniem z ust, nosa i uszu. Z połamanymi żebrami zabrano go do szpitala w miasteczku. Lekarze nie wiedzieli, jakim cudem ten człowiek za pół roku wyzdrowiał.

Borak siedział w areszcie śledczym dwa tygodnie. Cała wieś prawie stawała mu za świadka. Sędzia puścił go wolno, udzielając surowej nagany i przestrogi na przyszłość. Ale gdy rozełkana Antośka rzuciła się mężowi na szyję, a Herkules objął ją delikatnie i tulił, powtarzając: cichaj, Antosia, cichaj, bo mi serce pęknie!... — sędzia zagryzł wargi i prędko odwrócił głowę.

W ten to sposób Naduś miał spokój, a razem z nim miały spokój wszelkie żywe stworzenia. Święte dziecko wprzągnęło w tę służbę wszystkie kochające je serca.

...a gdy przyszedł marzec, niespodzianie zaprażyło słońce jakby w lipcu. Rozelśnił się cały świat oślepiającymi blaskami, które lunęły z przeczystego nieba w śniegi i lody. Lasami, polami, błoniem, jęły toczyć się — jakby z pod ziemi wytryskując — groźnie szumiące potoki. Straszliwy niepokój zawisł nad wioskami. W chałupach gadano o rzece, która rosła, mętniała i pęczniała, wzbierając głębią, jak złą czarną krwią... Przyczaiła się na jeden dzień, przycichła, jakby nieco nawet zmalała. Odetchnęli chłopi głęboko — aż tu nagle w cudne złociste południe ryknęło coś potwornie pod mostkiem i mostek zapadł się, jakby był z papieru. Spiętrzone wody rozsadziły rzeczne koryto. W mgnieniu oka woda rozlała się szeroko na nadbrzeżne pola.

Baby rozsypały się z wrzaskiem po chałupach, zgarniając dzieci i dobytek. Nim godzina ubiegła wszyscy, mieszkający bliżej rzeki, znajdowali się już „wyżej" we wsi — bezpieczni.

Naduś razem z innymi chłopakami biegał nad rzekę patrzeć, co się dzieje. Sołtys z chłopami i parobkami stali przy łódkach, przygotowanych od kilku dni. Gadali i gadali, z troską patrząc na rosnące wody. Nagle usłyszeli żałosny ryk krowy. Niosła go woda i wiatr gdzieś z dali.

Naduś zbladł. Pobiegł naprzód. Opodal — pod wodą już — stało kilka chałup. Za tymi chałupami dostrzegł chłopiec krowę, przywiązaną za łańcuch do drzewa. Zapomniała o niej gospodyni w gorączce ucieczki.

Naduś błyskawicznie zrzucił buty i ubranie. Na ciemnych wodach jego jasna główina zabłysnęła, jak kawałek słońca strącony w odmęty.

Chłopi spostrzegli to dosyć późno. Poczęli groźnie nawoływać i wykrzykiwać, ale Naduś płynął już środkiem. Za chwilę zniknął za chałupą.

Sołtys zaklął z wściekłością i kazał siadać ze sobą do łódki dwom parobkom.

— Tam! — zatoczył ręką — Woda go zaniesie!

— Duchem! Duchem! — komenderował.

Naduś z wysiłkiem dopłynął do krowy. Woda sięgała jej do piersi. Błagalnie wlepiała w chłopca przerażone oczy. Naduś okrążył drzewo: łańcuch był pod wodą. Należało więc rozluźnić zapięcie na szyi krowy. Opłynął ją, schwycił za pochylony ku niemu rozpaczliwie łeb, za rogi, i wdrapał pał się krowie na grzbiet. Dygotał z zimna, jak liść, i zęby dzwoniły mu jeden o drugi. Chłopiec nie mógł sobie dać rady z przerażonym, rzucającym się na uwięzi zwierzęciem i z łańcuchem, który napinała szarpiąca się do brzegu krowa. Wreszcie zgrabiałymi palcami przepchnął sztyft przez kółko. Łańcuch brzęknął i zanurzył się w wodzie. Uwolnione zwierzę skoczyło wprzód, radośnie roztrącając wodę szerokimi piersiami. Naduś spadł do wody. Nagła fala zakręciła nim i poniosła za chałupy. Naduś wychylił się wreszcie. Zobaczył niedaleko przed sobą łódź z trzema mężczyznami i ostatnim wysiłkiem począł płynąć ku nim. Tymczasem na brzegu załamywała ręce wśród rozpaczliwych łkań wezwana przez chłopaków Borakowa. Rozpoznawszy z daleka przerażoną matkę, Naduś uniósł się w wodzie. Może chciał jej coś krzyknąć, może tylko ręką kiwnąć... Wtem olbrzymi słup wody wzniósł się niewiadomo skąd i zwalił chłopca w głowę. W jednej chwili stracił przytomność. Woda zakręciła nim kilkakrotnie, porwała i rzuciła z wściekłością naprzód, twarzą na dół.



...Należało więc rozluźnić zapięcie na szyji krowy...

Rys. M. Porębski

Łódź pchana straszliwym wysiłkiem czterech męskich ramion, prześlizgnęła się jak węgorz koło chłopca. Sołtys klęknął w łodzi, schylił się gwałtownie, mocno wyprężył ramię i ucapił zemdlone dziecko za czuprynę, a potem w mgnieniu oka chwycił w ramiona i wciągnął do łódki...

— — — — — — — —

Wody opadły już dawno, wszyscy wrócili do swoich chałup, a Naduś wciąż jeszcze leżał na plebanii w łóżku wikarego. Wikary i sprowadzony lekarz nie odstępowali chłopca w dzień i w nocy. Po zapaleniu płuc, które na szczęście minęło, przyszło straszliwe osłabienie. I leżał Naduś przemocą karmiony i pojony, ratowany zastrzykami i lekarstwami — bledziutki jak śmierć, a chudy

Ciąg dalszy na stronie 8-mej

Dokończenie ze strony 7-mej

jak szkielet, nie mogąc nawet ruszyć ręką. Codzień zachodzili do niego rodzice, znosiła mu kwiaty Józusia, przeróżne „dziwności" przynosił ukochanemu bratu Antek; ale największą radość sprawiła Nadusiowi matka, powiedziawszy coś przypadkowo o ocalonej krowie. Chłopiec objął ją za szyję osłabionymi chorobą ramionami, Antośka zaś tuliła do piersi jego płową głowinę i całowała, odpowiadając na natarczywe pytanie:

— Widziałam ją, dziecko, widziałam! Błażkowa — bo to ich krowa była — po nogach cię całowała jak cię na plebanię nieśli, ale ty nic nie wiesz, bo byłeś chory, strasznie chory, Naduś! Ale teraz już będziesz zdrowy, perło ty moja, duszo ty moja najmilsza!

I wybuchnęła gorącymi łzami, z którymi spłynęła jej z serca żrąca je od kilku tygodni zgryzota o najdroższe dziecko. Wreszcie Borakowie pokłonili się lekarzowi, by mogli zabrać sobie syna do domu.

Okutanego w koce wziął w ramiona olbrzymi ojciec i ostrożnie, jak najkruchsze szkło, przeniósł do rodzinnego domku.

A w dwie niedziele później Naduś oparty o Antka, w towarzystwie rodziców i Józi, przyszedł na sumę. Rozstępowali się ludzie przed bladym dzieckiem, a gdy po Ewangelii stanął na ambonie wikary, dusze zastygły w oczekiwaniu, tknięte przeczuciem i wszystkie oczy zawisły przez chwilę na chłopcu. W mizernej twarzy zaświeciły się oczy Nadusia do przyjaciela i uśmiechnął się, pochwyciwszy z wysoka serdeczne spojrzenie.

...i padły w obliczu Boga wyrazy, wielbiące cudne dziecięce serce, opiewające bohaterstwo dziecka, które z narażeniem własnego życia uratowało zagrożone życie zwierzęcia. Uświęcony głos uczył z wysoka, że miłość do zwierzęcia jest równie wielkim przykazaniem, jak miłość do ludzi.

Na twarz księdza wybiły rumieńce, oczy płonęły jak gwiazdy, a młode i silne, choć przedwczesnym a nikomu nieznanym bólem złamane, ręce, wyciągnęły się do ludzi i dzieci zebranych w kościele. Wreszcie jak najwonniejsza róża, jak najśliczniejszy i najmilszy Bogu podarunek, padło w ukwiecony ołtarz, prosto pod Boskie stopy, tajemnicze, a przecudne imię „Naduś"...

PRZEBŁYSKI Z JAPONII

Okrzykiem używanym przez Japończyków na podobieństwo naszego „Niech żyje!" jest „banzai!", co znaczy „dziesięć tysięcy lat". Z tym okrzykiem idą pułki japońskie pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela do ataku, ten sam okrzyk wznoszą dzieci szkół japońskich w dniu święta narodowego. W okrzyku tym mieści się całe umiłowanie ojczyzny przez Japończyka, tętni w nim coś, jak rota przysięgi gotowości złożenia życia w ofierze na ołtarzu Tej, która ma żyć „banzai" — dziesięć tysięcy lat.

Jerzy Soplica

Schody z książek

Maluśki gracik, jodłowa półeczka,
Trzy kondygnacje, z wikliny wiązanie,
Słodkie dzieciństwo rączkami małymi
Górę zabawek ułożyło na nie.

Książeczki różne: i małe i duże,
Grzbiety czerwone, złociste i szare,
Bajki, legendy, obrazki, podróże.
W dużym formacie albo w miniaturze.

A potem przyszły czytanki do szkoły,
Pierwsze litery i całe stronnice,
Podróż koleją, opisy, wyprawy:
Warszawa-Lublin-Kraków-Bronowice.

A później wiersze pachnące jak róże,
Słońce nad sercem i wzloty młodzieńcze
I tajemnica, wyrwana naturze:
Im więcej książek tym bliżej ku górze.

Narasta życie. Tomami całymi.
Kartkę po kartce otwiera uparcie
Uskrzydla myśli i sami nie wiemy,
Że z książką w ręku stoimy na warcie.

Padają liście na jesień człowieka
A ręka pisze serdeczny testament:
Że najpiękniejszą jest ta biblioteka,
Co łączy ziemię i wieczny firmament.

„Kwiatami Tokio" dawne przysłowie japońskie nazywa straszliwe pożary spowodowane trzęsieniem ziemi, które niemal co roku niweczą ten piękny kraj.

* *

Ponieważ Japończycy wdziewają w zimie kilka kimon na siebie, utarło się tam charakterystyczne określenie ciepłoty, zamiast mówić: „Temperatura wynosi dziś tyle a tyle stopni Celsjusza", mówią: „Dziś mamy 5 sukni zimna!"

* *

Przysłowiowa grzeczność Dalekiego Wschodu znajduje również swój wyraz w mowie. W japońskiej mowie nie istnieje ani jedno przekleństwo. Zbyt mocne wyrażenia jakiegokolwiek rodzaju są zupełnie nieznane w „kraju kwitnącej wiśni". Jeżeli Japończyk jest bardzo rozgniewany i pragnie dać upust swej złości może swe uczucie tylko przez silniejszy ton zaznaczyć.

* *

W przeludnionej Japonii od kilkudziesięciu lat zaczęła się wielka emigracja młodych mężczyzn na Hawaje i inne wyspy Oceanu Spokojnego. Pracowali oni przeważnie jako robotnicy plantacyjni. Gdy zgromadzili nieco oszczędności i chcieli sobie własne ognisko domowe założyć, zwracali się wtedy do instytutu matrymonialnego o przysłanie albumu z fotografiami młodych rodaczek chcących wyjść za mąż i gotowych do dzielenia trudów z emigrantem. Przeciętnie około 1000 takich małżeństw jest zawieranych rok rocznie na podstawie fotografii umieszczonej w katalogu towarzystwa matrymonialnego japońskiego.

* *

Wiele okrętów japońskiej floty wojennej nosi imiona kwiatów. Imiona te nadawane są przez pamięć na czasy, w których japońscy samuraje kazali cyzelować na rękojeściach swych mieczy, sporządzonych z kości słoniowej, różne sielskie sceny. Kobiety japońskie pragną również okazać swą ofiarność dla państwa. Niedawo ofiarowały one japońskiej flocie wojennej oryginalny sztandar. 800 kobiet i dziewcząt japońskich obcięło swe czarne jak skrzydła jaskółcze warkocze, zaniosło je następnie do tkacza, by utkał z tych włosów sztandar. Sztandar ten pomalowany na kolor biały i czerwony ma w swym polu wschodzące słońce. Admirał zwycięskiej floty japońskiej przyjął w obecności całej admiralicji ten wzruszający dowód ofiarności i hołdu kobiet. Ta niezwykła flaga powiewa dziś na maszcie największego japońskiego krążownika.

ZE SCEN WARSZAWY I KRAKOWA

Teatr Miasta Warszawy, nowy sezon rozpoczął wznowieniem operetki „Ptasznik z Tyrolu" cieszącej się w dalszym ciągu niesłabnącym powodzeniem. Jest to w dużej mierze zasługą pierwszorzędnej obsady z Marylą Karwowską, Barbarą Kostrzewską i Januszem Popławskim na czele.

Teatr „Komedia" rozpocznie sezon jesienno-zimowy znaną sztuką Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej", w której zobaczymy wspaniałą aktorkę Marię Mirską, K. Junoszę-Stępowskiego, Józefa Węgrzyna, Zb. Rakowieckiego i innych.

Jeżeli chodzi o teatrzyki rewiowe to prawie wszystkie mają już... odświeżone ściany, wytrzepane kurtyny, przemalowane dekoracje, więcej lub mniej zręcznie przerobione stare utwory na tzw. szlagiery.

Jak w przybliżeniu wyglądać będą w najbliższym sezonie teatrzyki warszawskie:

Maska — dyr. Kamieniobrodzki, niezastąpiony kierownik art.-liter., reżyser i konferansjer w jednej osobie W. Zdzitowiecki, „nadworni poeci" Struś, Bronicz, Drabik czasem Rapacka. Skład aktorski: H. Brzezińska w „Donnie Annie", „Symfonii ulicy" i „Ekspresie" wlokącym się jak podmiejski pociąg parowy, Zakrzewski śpiewający do snu kołysankę „Baju-baj". Zacharewicz jako „Chłopak z Kercelaka". Balet: Heinrichowa, Woliński, Borkowski. Odkrywca gwiazd Zdzitowiecki w ciągłym poszukiwaniu nowych twarzy.

Nowości — wyjazdy z T. Ortym-Prokulskim na księżyc, Marsa i inne planety, inscenizowane bajki i legendy (najchętniej dalekiego wschodu białym wierszem pisane) poza tym „dramatyczne recytacje" z cyklu „Serce matki". Inscenizacja baletowa: „Karczma"(rewski). Skecze — na Wesoło(wski).

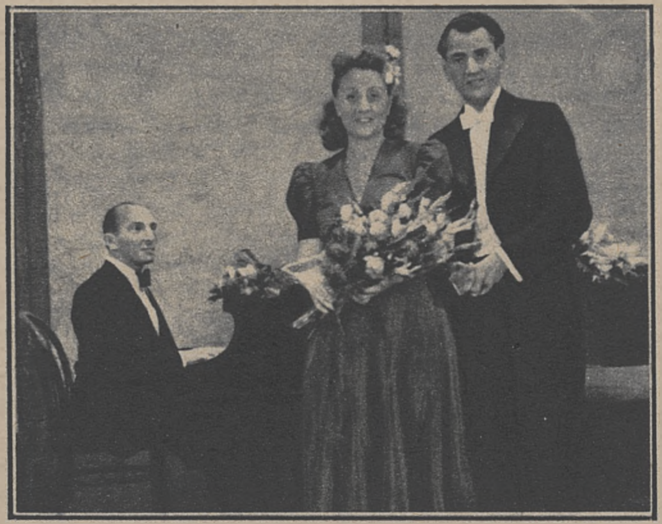
Ul — zawsze te same pszczoły. Czasem zabłąka się jakaś S(z)elm(a)ówna ale najwyżej na jeden program. Nazywa się to gościnnym występem. Taniec Kwapiszewskiej — (S)konieczny. Wśród pszczółek doskonale rośnie Chmiel(ewski), zimuje Rak(owiecki) i oswaja się Wilczyńska. Oprócz wspomnianych: — „Kobiety, kobietki, kobieciątka" — Chmurkowska, Kaniewska, Winiarska.

Bohema — Skwierczy(ńska) „Na nowym mieszkaniu". Publiczność woła ciągle Wal-tera(z).

Zygmunt Bakuła



Wspaniała para komików Irena Skwierczyńska i Władysław Walter wywołuje huragany śmiechu w kabarecie „Bohema" w Warszawie.
Wesoły obrazek pt. „Szkoła tańca" z rewii „Na nowym mieszkaniu".
Fot. Lokajski



Ulubienica publiczności p. Lucyna Szczepańska ze swoim partnerem p. Franciszkiem Targowskim. Przy fortepianie znany akompaniator p. Adam Lenczowski.
Fot. Borek

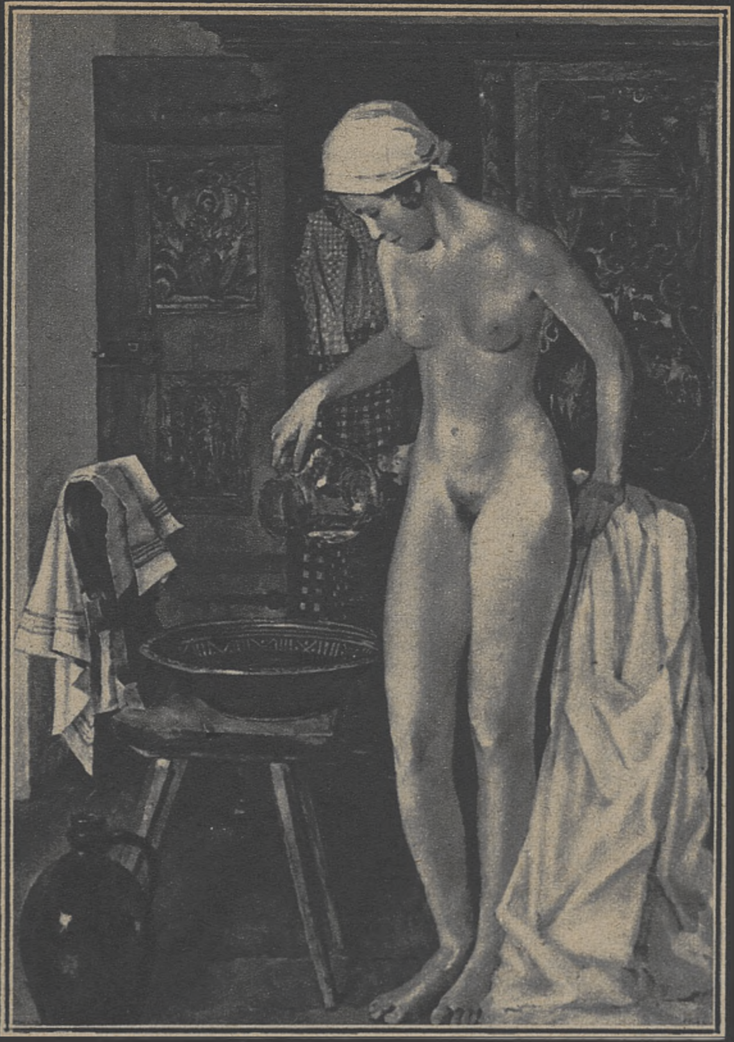
W ostatnich dniach września bawiła w Krakowie popularna śpiewaczka Lucyna Szczepańska w towarzystwie swojego partnera Franciszka Targowskiego. Już samo ukazanie się artystki na scenie Starego Teatru, gdzie odbył się koncert, wywołało burzę oklasków, a po odśpiewaniu pierwszej piosenki nawet najzatwardzialsi sceptycy, którzy pomimo popularności i sławy Szczepańskiej dotąd nie mieli sposobności usłyszenia jej, musieli skapitulować i dać się unieść ogólnej fali entuzjazmu przepełnionej po brzegi sali. Zdawałoby się, że utwory Lehara, które wypełniły lwią część programu, były skomponowane specjalnie dla niej, dla jej ciepłego pieszczotliwego głosu. Huraganowe brawa rozsadzały po każdej odśpiewanej pieśni salę, a Lucyna niestrudzenie starała się zadowolić publiczność nie szczędząc bisów.

Franciszek Targowski tym razem nie śpiewał w duecie. Jego śpiew, zwłaszcza foxtroty i czardasze, cieszyły się wielkim uznaniem u publiczności. Również musiał kilkakrotnie bisować.

P. Szczepańskiej akompaniowała, znana bywalcom koncertów, p. Zofia Kryńska, a p. Targowskiemu p. Adam Lenczowski, autor wielu piosenek, z których kilka odśpiewano na koncercie.

B. Plata

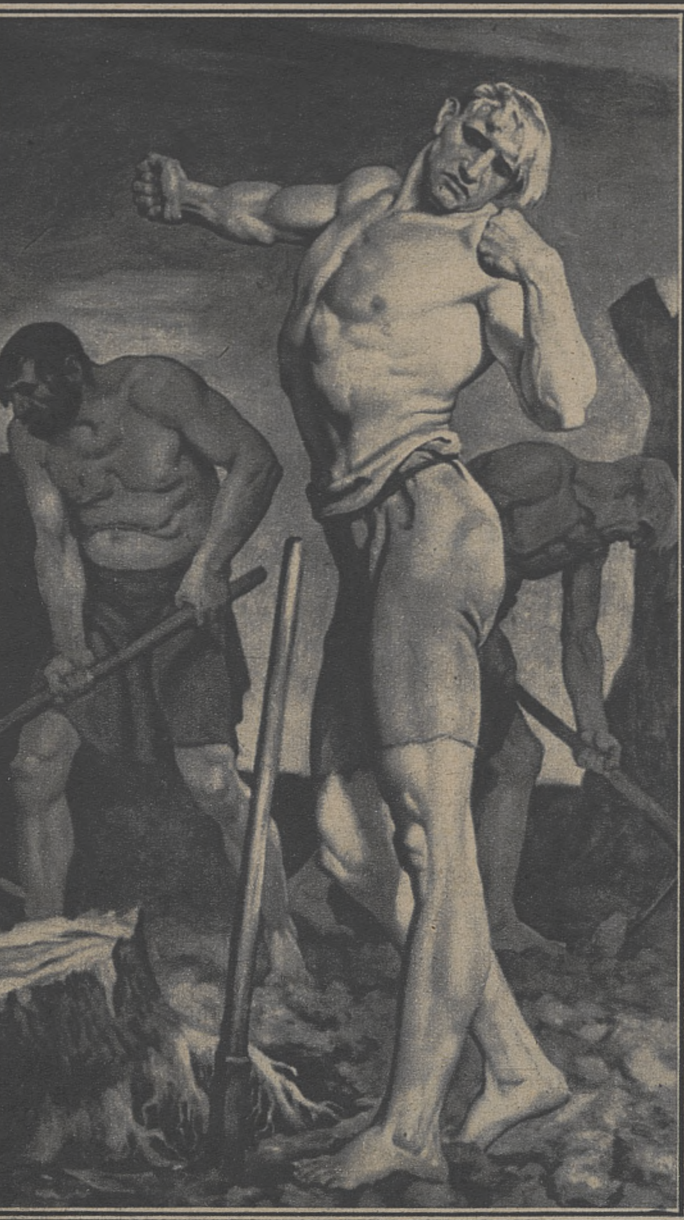
Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



„Młodość" — obraz olejny Antoniego Lutza z Linz.
Fot. Scherl

SYMBOL ŻYCIA

„Ziemia" — Artura Kampfa.
Fot. P. B. Z.



GRUBJAŃSKI TRAMWAJARZ

NOWELKA SERBSKO-CHORWACKA — VELJKO PETROVIĆ

Wysiadło nas kilka osób z ostatniego panczewackiego statku w pustej i rozbłoconej przystani. Złośliwy wschodni wiatr zasypał nam oczy jakimś niewidzialnym deszczem, który jakby nie padał z nieba, lecz jak gdyby wiatr wypijał ową wodę z mętnej Sawy, aby pryskać nią potem na nas z swojej paszczy.

— Czy też będzie jeszcze tramwaj? Chodźmy lepiej skuleni w górę, niż wyczekiwać tutaj, może na darmo.

Lecz ledwo się przepchałem przez wicher, który jakby oszalały i pijany odbijał się od ścian domów, a tu za mną jęknęły szyny, zaszumiały nade mną druty i zaskwierczały na nich niebieskawe iskierki. Pobiegłem naprzeciw tramwaju i usiłowałem wskoczyć na przednią platformę. Gdym się zmagał na oślizgłym stopniu z wiatrem i z owym nieszczęsnym ryglem, ponury, zamyślony motorniczy zasypał mię pogróżkami:

— Gdzie się tu pchasz? W tył, w tył, jak ci mówię, tu nie wolno wskakiwać, o ludzie boży, przecie to nie ludzie, to cielęta! Jakże mam teraz zatrzymać, nie mogę na tej spadziźnie! Pierwszemu żandarmowi cię oddam, przecie to nie ma rozumu nawet tyle co kurczę; mam cię przejechać? Mam cię jeszcze brać na swoją duszę?...

Całkiem słusznie się złościł, ale ja, teraz już, nie mogłem zeskakiwać i z trudem dostałem się na platformę. On mamrotał i wyzywał dalej głosem znanym wszystkim białogrodzianom. Pod „Narodowym" wielka elektryczna latarnia oświetliła mu twarz na chwilę; naturalnie, to był on, osławiony motorniczy, Janko.

— Mogłem to wiedzieć, że właśnie na was trafię? Boga mi, gdybym był wiedział, że to wy, nie byłbym nawet próbował. Krzyczycie i tak całymi dniami na każdego — mruknąłem drażniąc go, a w rzeczywistości uspokajając.

Na platformie oprócz nas nie było nikogo, a także i cała przestrzeń aż do „Serbskiego Króla" pusta i mokra. Kum Janko szarpnął się w bok, wprost jęknął ze złości i oburzył się swoim przepitym głosikiem:

— Ja krzyczę na każdego, ja krzyczę na każdego, i to mówi pan, jakiś urzędnik, człowiek, który zna przepisy i regulaminy, wie, że zakazane jest skakać na przednią platformę! A co by było, mój panie, gdybym was przejechał, jak się to wczoraj trafiło czarnemu Ljubie na wozie numer 16? Kto będzie odpowiadał? Motorniczy? Ja mam odpowiadać za pana? A muszę i znowu by mię ciągali przed sąd. Na co mi tego? Myśli pan, że mi to przyjemność przejeżdżać ludzi? Ja mam uważać na każdego, czy go widzę, czy nie widzę, a wy nie chcecie uważać na siebie? Jak mu się to widzi, hę? I teraz ja krzyczę, ja jestem grubianin Janko, że uważam na nich i na siebie!... Zabijajcie się, kiedy się wam chce zabijać, ale skąd mnie wybieracie do tego, żebym ja was zabijał? Myślicie, że to lekka rzecz zabić człowieka? Nawet na wojnie nie jest lekko widzieć człowieka, jakeś go właśnie ty zabił, choć on strzelał do ciebie, ale na spokojnej, zdrowej drodze, wykonując swój codzienny obowiązek!? E, mój panie!...

Dzin, dzin, dzin!...

— A gdzież ten znowu lezie? Dalej ze szyn, bydlę bezogoniaste, bydlę! — krzyczy motorniczy Janko jakby bez duszy, obraca się, wychyla i krzyczy tak w tamtą stronę, by go właśnie ów przechodzień usłyszał. — To bydło, ani jedno to nie myśli, jak jest człowiekowi, motorniczemu, na jakich jest mękach!

Kum Janko zatrzymuje wóz przed Kalemegdanem, zakręcając z całej siły i przyparłszy się do motoru piersiami i brzuchem, całym ciężarem ciała. Do owego zakrętu i do ulicy Rigi od Fera i z prawej strony aż do Księcia-Michała wszystko wymarło, jak gdyby wiatr wytarł i wymiótł jak liście wszystko co żywe w otwory piwnic, bram i okien. Za nami w wozie drzemie czterech skulonych, przemokłych żydów.

— Popędzałem jeszcze koński tramwaj. To była jedyna rozkosz. Mądre i spokojne zwierzęta; a i ludzie nie byli jeszcze wtedy tacy zwydrzeni jak ci dzisiaj. Dla tych dzisiejszych zawsze jest za pomału, wszystko to pędzi, myślałbyś dom się im pali, moc interesów! — i tak bez końca. Zaraz potem przeszedłem na ten elektryczny wóz. Numer pięć, stary gruchot. Wyuczyłem się swojego zawodu, byłem młody i mocny, nie byłem nerwowy, ale przecie jakoś mię od niego odpychało. Jak gdybym wiedział, co mię czeka. I oto, proszę pana, mnie się musiało wydarzyć pierwsze nieszczęście. Nie wiem, ale może pan pamięta ten wypadek? W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, w dziurdziewskie święto, prześliczny był poranek, około ósmej godziny, owa główna ranna fala ludzi już przeszła ładnie i spokojnie, jadę ja z powrotem, wóz ustrojony — ja też ustrojony, a Boga mi, nie wypiłem nawet dwóch kieliszków wódki, trzeźwiejszy byłem niż teraz, a oczy? Miałem jeszcze wtedy oczy jak ryba; prawie zjeżdżam w dół koło „Londona", przede mną czyściutko, jedzie się jak po lodzie, a tu pod kasarnią coś białego jakby spadło z nieba. Zaigrało mi przed oczami i gdym przesunął korbą, wóz mi się podniósł, zatrząsł się, a wokoło mnie zleciał się naród i dalej w krzyk. Ledwiem zahamował i wyskoczył — a tu mam co widzieć. Zlecieli się ludzie, a między nimi jakiś człowiek skacze i wymachuje poszarpanym kobiecym kapeluszem. Wszyscy krzyczą w jeden głos: „Zabił dziewczynę, przejechał kobietę!" Drżę jak w gorączce, obracam się, nie widzę nic, dopiero za wozem ciągnie się krwawy ślad.

Schylamy się wszyscy jak na komendę i tam pod wozem widzimy coś białego, zgmatwanego, poplątanego między osie. Chwyciliśmy się wszyscy, wsparli, nie mogliśmy się dostać do niej. Ni klamry, ni drągi nie pomogły, na ostatku musieliśmy przywlec windy z fabryki, zmobilizować wszystkich naszych robotników, a dopiero po południu udało nam się wyciągnąć nieszczęśnicę ze wszystkimi jej połamanymi kośćmi i strzępami poszarpanego ciała. Ja się trzymałem jeszcze dobrze, jedna część publiki napadała na mnie, przeklinała, drudzy mnie bronili. Otrząsłem się i pracowałem pókim mógł, ale gdyśmy ją poskładali i nieboszczyk doktór powiedział, że to była młoda kobieta i że pod kołami też poroniła, a mnie żandarmi odprowadzili, — wstrząsnęło mną. I odleżałem trzy miesiące. Wszyscy świadczyli po prawdzie, że ja jej nie mogłem widzieć, bo ona z chodnika, z poza drzewa wyskoczyła prosto pod koła i że nie mogłem zatrzymać wozu w samą porę, zostałem uniewinniony. Jeszcze w szpitalu wezwali mię z powrotem do służby, ale ja długo walczyłem ze sobą, czy mam dalej robić tę przeklętą służbę. Nie umiałem nic innego, przyjąłem ją z powrotem, ale już nigdy nie pracowałem z taką ochotą jak przedtem. Ja wiem, — czystę mam sumienie jak i pan co do tej kobiety — że ja nie jestem winien jej śmierci, ale cóż, ja ją przecie zabiłem. Nigdy jej nie widziałem, nie wiedziałem, że w ogóle żyje tam w Zemuniu, ani ona o mnie, pewnikiem, nigdy o mnie nie słyszała, kim jestem, gdzie jestem, i jaki jestem, a przecie stało się, że ja ją zabiłem. I śniła mi się chyba przez dziesięć lat w każdą noc i nie ma dnia, żebym nie pomyślał o niej. Bracie, to nie żarty odebrać komuś życie, choćby nawet i niechcąco, choćby nawet i on sam tego chciał, nie tak to lekko...

I od tego czasu nie mogę już być ten sam stary Janko. Nie ma już więcej dla mnie ni pieśni, ni wesela; im więcej piję, tym gęściejszy mrok pada mi na duszę... pan nie pierwszy... wszystkim się uprzykrzyłem. I dla żony swojej i dla dzieci swoich jestem nieznośny... I później, kiedym widział, że mię ludzie poczynają nie cierpieć, myślałem, żeby zmienić zawód. Ale myślę sobie, gdzież pójdziesz teraz, głuptasie, taki, po tym wszystkim, z taką głową? Dawniej nie myślałeś o tych rzeczach, nie widziałeś tego, co teraz widzisz, wszędzie się chcesz bać i gryźć się. Weźmy na ten przykład, że jestem doktorem. Ile razy byłbym w tym samym położeniu, że pytałbym się, czy zabiłem kogoś czy nie. Albo że jestem murarzem i że komuś cegła spadła na głowę — tak samo by mnie wstrząsnęło... Nie ma dla mnie nic innego, tylko jeździj dalej i bój się wiecznie, żeby znowu komu nie obciąć głowy.

O, oswobodziliśmy teraz Srem, nie ma paszportów, a ja ciągle jeszcze nie zaglądnąłem nawet do Zemunia. Zapędzam się, ale wracam. Wciąż mi się widzi, że jakaś zemuńska matka spotka mnie na drodze i że mnie pozna: — Nie tyś to, coś zabił moje dziecko?

I nic tu nie pomoże. Daremnie chwyta mnie czasem szaleństwo i pragnę, żeby i ta maszyna oszalała, żeby wyskoczyła ze szyn i żeby zaczęła hulać po tym świecie, miażdżyć kogo spotka!... Daremnie!... I proszę i klnę: „Uważajcie ludzie, i ja jestem człowiekiem i ja mam duszę!" Przeżywam i przeklinam: „Co za zły duch pcha was właśnie pod tę krwawą maszynę, jakim prawem czepiacie się mojego sumienia? I widzi mi się ciągle, że wszyscy ci ślepcy, tak samo jak i ja pędzą jakąś swoją śmiercionośną maszynę i pchają ją na mnie, właśnie żeby o mnie zaczepić, na mnie żeby wpaść!... I potem ja jestem „pijany idiota, ten grubianin Janko, niech Bóg strzeże przed nim!"... A, pan przejechał swój przystanek?

— Wszystko jedno, pojadę z wami do wozowni, a potem Skenderbegową.

Przy zakręcie na prawo zatrzymaliśmy się za długim szeregiem wozów tramwajowych, zmęczonych, gotujących się na odpoczynek.

Gdym schodził pod wielką latarnią, dwóch młodych motorniczych zakrakało:

— A, kum Janko, przejechałeś ta kogo, przywiozłeś wszystko żywo i zdrowo? — i chichocząc zwrócili się do mnie:

— Ale pewnie panu wyczytał, co? E, to siła ten nasz kum Janko, tylko żeby tak nie nienawidził ludzi, a jeszcze żeby wódki nie woził!... Ha-ha-ha!

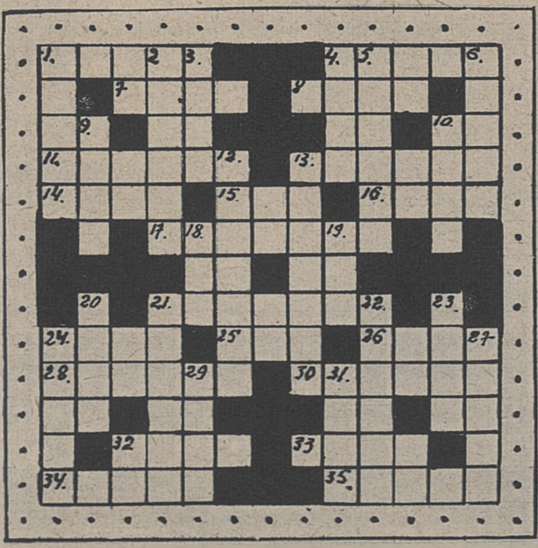
— Dobranoc, kumie Janko!

— Słyszał ich pan?... Precz, marsz, bydlęta jedne!... Dobranoc panu!...

Tłumaczył **W. Podmajerski**

Rozrywki umysłowe

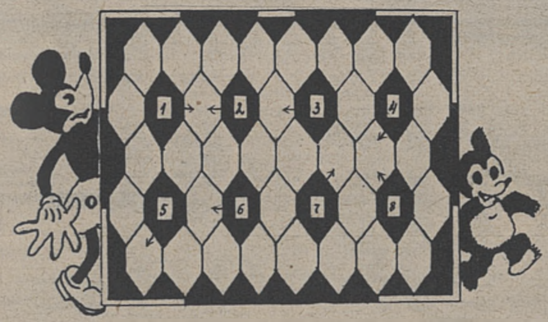
KRZYŻÓWKA
uł. I. Kiśliński, Radom



Wyrazy poziomo: 1. Przechowujący rzeczy kradzione; 4. stado dzikich koni; 7. napój mocny; 8. tułów posągu bez głowy; 11. działo; 13. biuro fabryki; 14. ciasto cukiernicze; 15. rzeka w Afryce; 16. skład różnych przedmiotów; 17. bogini prawdy; 21. znawca; 24. stała posada; 25. imię męskie; 26. bożek miłości; 28. służy do czyszcz. ubrań; 30. drewniane obuwie; 32. dawka; 33. układ pokojowy; 34. miejsce zapas. walki; 35. błękit.

Wyrazy pionowo: 1. Wschodni wiatr zwrotnikowy; 2. sprostowanie omył. drukarskich; 3. większa zabawa; 4. strój sędziów; 5. dzierżawca; 6. początek wyrazu związ. chemicz.; 10. 60 sztuk; 12. przyłączenie; 13. imię męskie; 18. służy do listów; 19. wąwóz; 20. miejsce wypoczynku; 21. waga urzędowa; 22. tytoń w proszku; 23. parcela na sprzedaż; 24. okres czasu; 27. przymus prawny; 29. bogini sztuk pięknych; 31. poręczenie na wekslu.

WIRÓWKA
uł. Reichel Władysław — Jasło



Proszę odgadnąć 8 wyrazów 6-literowych według podanych niżej znaczeń i ułożyć z nich w polach figury prawidłową wirówkę. Strzałki wskazują początek wyrazów, które należy wpisywać w kierunku wskazówki zegarowej.

Znaczenie wyrazów: 1. Pierwszy dzień po świeżo upadłym śniegu, na którym znać tropy zwierząt; 2. wydanie płodu przez zwierzęta; 3. drwiny, szydercze wyrażenie; 4. natręt; 5. z cyny; 6. dzień tygodnia; 7. prawy dopływ Dunaju w Bułgarii (w 2 przyp.); 8. pierwszy z czterech wielkich proroków, działał w Jerozolimie 740—701 r. przed Chr.

Odczyt naukowy. Prelegent wykłada, iż słońce oziębia się i za 75 milionów lat wystygnie zupełnie, co sprowadzi za sobą zanik życia na ziemi.
— Kiedy to nastąpi? — pyta jeden ze słuchaczy.
— Za 75 milionów lat.
— Dzięki Bogu, zdawało mi się, że pan mówił o 7 milionach lat.

*

Z CYKLU: KOLOROWE WIERSZE.

Dwie fale

Jestem radiomiłośnik (lub radioamator),
I mam odbiornik, który dumą mnie napawa,
Ale jest w nim zepsuty troszkę kondensator
I gdy słucham Krakowa, włącza się Warszawa.

...Halo! Tu Radio Kraków! Słuchaczy zjednoczy
pogadanka o bydła hodowli w zagrodzie...
...Halo! Tutaj Warszawa! Nadajemy odczyt:
Jak trzeba i należy wychowywać młodzież...
...Jeśli chodzi o bydło trza zwrócić uwagę...
...no na uświadomienie młodzieży w miłości
i w sprawach seksualnych; To ma wielką wagę
i wymaga i taktu i delikatności...
...byka najlepiej chwycić jest mocno za rogi,
przy czym trzeba zachować ogromną ostrożność...
...gdyż młodzian w takich chwilach zchodzi z prostej drogi,
traci zdrowy rozsądek, przytomność i możność...
...dojenia krowy. Wtedy tak samo jałówkę
trzeba bardzo pilnować, a szczególnie latem;
W tym okresie przekształca się już prawie w krówkę
no i przestaje brykać po łące. Poza tym...
...współczesne matki często, chociaż patrzą bystro —
popełniają wciąż ten błąd i inne — bez liku,
że wprowadzają swoje — córki w towarzystwo
starszych już mężczyzn, zamiast......młodych, jurnych byków...
...Bywają jednak młodzi — zakochani wiecznie,
dlatego też co do nich jest jedyna rada...
...Każdy hodowca bydła powinien koniecznie
w porę odpędzić byka od krów dojnych stada...
...Każda matka mająca córkę cud-urody
niech sprasza inne panny i młodzieńca bada...
...czasem dochodzi przy tym do starcia krów młodych
o byka, wtedy zdzielić trza batem po zadach...

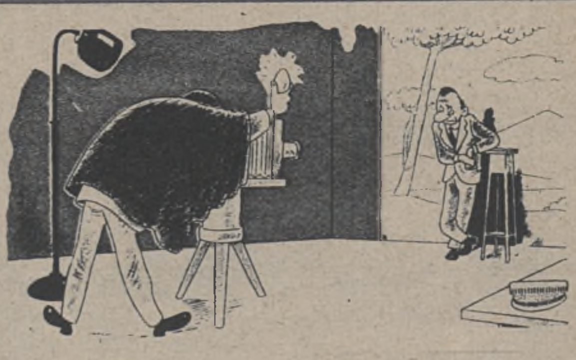
Wzburzony co niemiara
Wyrzuciłem aparat!

Eugeniusz Kol.

*

Rzecz się dzieje w knajpie — dochodzi godzina druga w nocy. Dwaj ostatni goście, dalecy znajomi, siedzą naprzeciwko siebie przy stoliku, ziewając i dopijając resztki piwa. Jeden mówi:
— Chodźmy już, bo dostaniemy potężne wymyślanie od żon...
— Ależ ja wcale nie jestem żonaty — mówi drugi.
— Tak? To nie rozumiem zupełnie, dlaczego pan tak długo tutaj siedzi...

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



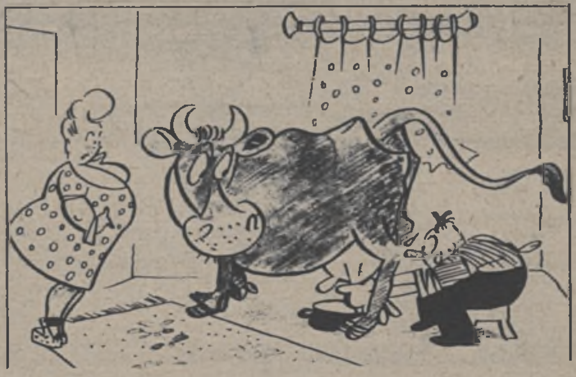
„Proszę zrobić przyjemną minę! Niech pan spojrzy, co trzymam w ręce!" (Koralle)



„Wreszcie i myśmy doczekali się sprawiedliwości. Zaaresztowano rzeźnika Kolskiego, który zarżnął naszego pradziadka". (Das Illustrierte Blatt)



— „Znów mi wbiła żądło jedna z pańskich przeklętych pszczół!"
„Jeśli mi pan wskaże, która to była, to porządnie jej natrę uszu". (Das Illusrierte Blatt)



POKĄTNY HODOWCA
„Prędko, Wiktorze, ukryj gdzieś krowę! Ktoś dzwoni!" (Wiener Illustrierte)



UWAGA! FOTOAMATORZY!

NA BŁONIU

Tym razem zdobył miejsce w naszym kąciku fotoamatorskim doskonale pod względem technicznym wykonany krajobraz. Wielką jego zaletą jest prostota i wspaniała perspektywa. Należy również podkreślić umiejętne użycie filtru i przysłony, dzięki czemu uzyskał fotoamator efektowne odbicie chmur w wodzie i stonowane przejście z planu pierwszego na drugi. Zdjęcie to nadesłał nam p. Andrzej Żebrowski z Krasnegostawu. Aparat „Bessa" Voigtländer. Czas 1/50 sek., przysłona 8, filtr jasny. Film Agfa Isopan.



DROGA DO NIEWOLI

Trzej przedstawiciele pstrej mieszaniny ludów Unii Sowieckiej, którzy poznali beznadziejność oporu, przechodzą z bronią w ręku na stronę niemiecką.

Fot. P. B. Z.